

Piotr Woyciechowski

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0103**

Data urodzenia: **04.03.1966 r.**

Data nagrania: **21.04.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 51 min, część III: 42 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 44 min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Piotr Woyciechowski: Piotr Woyciechowski, urodzony 4 marca 1966 roku we Wrocławiu. Mama: Teresa, z domu Kot, ojciec: Krzysztof Woyciechowski. I tu już informacja, która jest ważna dla mego ukształtowania w późniejszych latach, mój dziadek Jerzy, po mieczu Woyciechowski, pochodzący z miasta Kielc, mierniczy, adwokat, podporucznik rezerwy w ramach zbrodni katyńskiej, został zamordowany przez Sowietów w 1940 roku. Był przetrzymywany w obozie specjalnym w Starobielsku i pod Charkowem, w Charkowie, w katowniach sowieckich zamordowany w ramach tej zbrodni ludobójstwa. Ten mit, ta informacja była obecna od mojego dzieciństwa i potem w latach nastoletnich i późniejszych. Skończyło się to tym, że będąc już dorosłym człowiekiem, podjąłem takie mini śledztwo dotyczące losów swojej rodziny i ono obejmowało także to, że mój ojciec, Krzysztof, jako nastolatek działał w takiej organizacji antykomunistycznej po II wojnie światowej, która się nazywała Polska Organizacja Wojskowa, w Kielcach, na Kielecczyźnie, i był skazany na 10 lat w latach stalinowskich, to taki słynny dosyć, jeden z ostatnich procesów politycznych takich grup w Kielcach w 1953 roku. To zresztą zaważyło bardzo na dalszych losach i w życiu mojego ojca. On sobie z tym nie poradził. Małżeństwo mojej mamy i ojca się rozpadło bardzo wcześnie, praktycznie byłem wychowywany przez moją mamę i z ojcem nie utrzymywałem kontaktu, ta klamra życiowa dopiero nastąpiła już w wieku późniejszym, kiedy, jak by to powiedzieć, wybaczyłem ojcu i sobie, a jednocześnie dzięki swojemu śledztwu, w oparciu też o Instytut Pamięci Narodowej, dosyć głęboko zajrzałem w losy rodziny po stronie miecza. Po stronie kądzieli też jest bardzo ważny wątek mojej rodziny, który też mnie bardzo ukształtował w dużym stopniu, to jest to, że moja mama i rodzina z nią związana pochodzi z Wołynia. A dokładnie z takiej miejscowości, która już nie istnieje na mapie, Niemilia nad rzeką Słuczy na Wołyniu, gmina Ludwipol, powiat Kostopol jeszcze przedwojenny, która jest znana z tego, że jeszcze na dwa miesiące przed słynną krwawą niedzielą, 11 kwietnia 1943 roku, została zmieciona przez

banderowców z powierzchni ziemi. Wymordowano tam około 150 mieszkańców w bardzo brutalny sposób w nocy chyba z 28 na 29 maja 1943 roku, też w szczęści rodziny mojej matki. Ona się cudem uratowała razem z babką, ponieważ niecały miesiąc przed tą masakrą, którą zafundowali jej Ukraińcy, Rezuni, czyli sąsiedzi, wyjechała na dobrowolne roboty do Niemiec na Śląsk i tam do końca wojny przeżyła. Potem tam część rodziny osiedliła się właśnie w Kotlinie Kłodzkiej, we Wrocławiu, jak wielu zresztą wołyńiaków, i stąd moje miejsce urodzenia i z tym związane, że tak powiem, początki i historia, chociaż generalnie mogę się nazywać warszawiakiem przyjezdnym, bo tu mieszkam od wielu, wielu lat, tu założyłem rodzinę i tutaj mam miejsce pracy, jak i zamieszkania. I to te opowieści, te dwie, bardzo się w różnym stopniu przeplatały w czasie mojego dzieciństwa, jak i w późniejszym życiu dorastającego chłopaka i dorosłego człowieka. Rzeź Wołyńska była o tyle inaczej opowiedziana, ze względu na głęboką traumę tej części rodziny, która została przy życiu. Ci ludzie mieli bardzo mocno w sobie przekształcone blokady, opowieści o tym, co widzieli, co słyszeli, co przeżyli. I dopiero z wiekiem zaczęło się to rozszczelniać, i polegało to głównie na tym, że potomkowie tej dosyć licznej rodziny zaczęli spisywać to, co słyszeli od swoich dziadków czy rodziców. Jest tam też wątek po stronie rodziny mamy udziału takiego epizodycznego rodzonego brata mojej babci, czyli wujka stryjecznego, w 27. Wołyńskiej Dywizji, jako młodego, kilkunastoletniego chłopaka. Jest też wątek braci, którzy byli w wywiadzie AK, którzy po II wojnie światowej zaginęli. Jest to troszeczkę opisane we wspomnieniach i książkach generała Czesława Piotrowskiego, takiego komunistycznego generała wywodzącego się z tamtych terenów, ale który po odejściu do cywila zajął się sprawą rzezi wołyńskiej i zostawił troszeczkę po sobie książek i wspomnień, dosyć ważnych z punktu widzenia faktograficznego. I jest też taki ciekawy element, który stosunkowo niedawno właściwie został odkryty, a mianowicie duszpasterzem Wołyńiaków był niejaki ojciec Serafin Kaszuba, kapucyn, jeden z nielicznych zakonników franciszkańskich, którzy dobrowolnie zostali na tych ziemiach po zamknięciu granic 1945 roku. Wielka postać, stąd teraz od lat starania wyniesienia go na ołtarze, a to był taki pielgrzym, który po stepach Kazachstanu i części Syberii potrafił z Panem Jezusem, z Najświętszym Sakramentem, jeździć do miejscowości, gdzie byli Polacy, i udzielać im w odległości 400, 300 kilometrów. Niesamowita zresztą opowieść jest z nim związana z losów Kościoła podziemnego, tego ukrytego, tego walczącego i prześladowanego przez Sowietów. Ale on był w nim i zaraz po rzezi. Prawdopodobnie chrzczył moją mamę. A potem, jak już ta opowieść o nim wróciła i zorganizowałem w Instytucie Pamięci Narodowej w ramach cyklu „Tajemnice bezpieki” spotkanie z kapucynami o nim, o jego historii, o jego walce z Sowietami i też tej walce Sowietów z nim, jak to zresztą słusznie ksiądz Franciszek Blachnicki określił komunizm sowiecki jako mistyczne ciało szatana, to otrzymałem od kapucynów taki krzyż z jego relikwiami, to znaczy z fragmentem jego sutanny. No i ten krzyż towarzyszył śmierci mojej mamy w szpitalu. To jest taka klamra, która zamyka historię tej części rodziny, związaną właśnie z Rzezią Wołyńską. Trudno mi o tym mówić, bo to są dosyć świeże wydarzenia, sprzed roku. No ale to jest takie tło pewne, które manifestowało się różnymi impulsami, różnymi faktografiami, informacjami, zdarzeniami przez okres mojego dzieciństwa, jak późniejszego wieku już dojrzałego. Natomiast siłą rzeczy mój dom był bardzo antykomunistyczny, bardzo katolicki, i to jest właściwie tradycja, w której ja się wychowywałem, też na bazie oczywiście literatury romantycznej. I w części rosyjskiej, która bardzo była obecna w moim domu, w szczególności w tej formie poezji i ballad Wysockiego czy Bułata Okudźawy. No i tu wracamy już do sedna naszego spotkania, czyli zapoczątkowania mojego uczestnictwa skromnego w działalności antykomunistycznej. To są lata licealne, czyli początek lat 80., stan wojenny, zastał mnie w pierwszym roku liceum ogólnokształcącego i o ile dobrze pamiętam, mój udział w grupach oporu „Solidarni” rozpoczął się gdzieś na jesieni, zimą 1983 roku, czyli tak jeszcze...

Artur Kłus: A jeszcze zanim przejdziemy do tej grupy, jakby pan jeszcze właśnie opowiedział o tym, jaka była szkoła, jak pan pamięta, w tych latach 80., liceum na przykład, jak są jakieś takie wspomnienia, jeżeli chodzi o taką edukację, proces edukacji, no i jakby też możemy się chwilkę zatrzymać, jak pan pamięta w ogóle ten stan wojenny.

Piotr Wojciechowski: No tak, to jeżeli chodzi o liceum ogólnokształcące, no to, jak dobrze liczę, to jest 1981 rok, ukończenie podstawówki, wtedy ośmioletnia, a jednocześnie festiwal Solidarności, bardzo widoczny, odczuwalny w moim życiu nastolatka, między innymi przez uczestnictwo mojej mamy w związku zawodowym Solidarność, która natychmiast przystąpiła w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, na Placu Krasińskich, i tam pracowała, a jednocześnie „Przyjaciół domu”, dosyć sporej rzeszy, które w naturalny sposób do tego ruchu przystąpiło, na różnym poziomie, w różnych formułach. A z tym wiązała się oczywiście taka wnikliwa obserwacja tego, co się dzieje, uczestnictwo, że tak powiem, w imprezach czy obecność regionu Mazowsze, w biurach i tak dalej, oczywiście literatura, która już wcześniej w moim domu była, bo ja już pamiętam, jako uczeń szkoły podstawowej w ręku miałem KSS „KOR” biuletyny, PPN – Polskie Porozumienie Niepodległościowe, oczywiście Wolna Europa czy BBC były stałym elementem w ogóle nasłuchu tego, co się w świecie dzieje. W każdym razie pierwszą swoją aplikację składałem do Liceum Ogólnokształcącego Władysława IV na Pradze, tam się nie dostałem i w sposób automatyczny, taki był wtedy system rejonizacji, trafiłem do Liceum Ogólnokształcącego numer XX imienia Bolesława Chrobrego na ulicy Ogrodowej, to jest za ulicą Kawęczyńską, tam jest taka zajezdnia tramwajowa i... Tak zwane Szmulki to się w Warszawie nazywa. No i nie żałuję tej szkoły. Tę szkołę skończyłem ja, tę szkołę skończył Mariusz Kamiński, obecny minister koordynator, czy też Jacek Sasin, wicepremier obecny, pochodzący z miasta Żąbki, bo to, co najważniejsze, trzeba jeszcze powiedzieć, że ja cały czas mieszkam w Zielonce koło Warszawy. A to jest ta linia Wołomin, Zielonka, Żąbki przed Warszawą i z powodu tej rejonizacji ta część Warszawy, dzieciaki były przypisane właśnie między innymi do tego Liceum numer XX imienia Bolesława Chrobrego. To była dobra szkoła. Naszym dyrektorem była osoba, która była jedynym dyrektorem w liceum ogólnokształcącym, uczestnikiem, członkiem związku zawodowego Solidarność. Z jakichś powodów uchwalił się w stanie wojennym ten dyrektor, ale dzięki niemu... wyciągał on z kłopotów szereg uczniów, którzy na przykład zostali wyłapani na manifestacjach czy z ulotkami w rękach i tak dalej, a którego władze SB chciały... żądały od niego usunięcia tych dzieciaków ze szkoły. No i stan wojenny jak stan wojenny. Pamięta się to brakiem „Teleranka”, ostrą zimą, dziwnym sylwestrem, takim nietypowym, gdzie czołgi były i SKOT-y na ulicach, patrole i te koksowniki słynne. I przemieszała się taka nieświadomość czysto dziecięca z takim przyspieszonym dojrzewaniem tego. Pamiętam jak dziś, bardzo to było jak uderzenie, to jest informacja o śmierci górników kopalni „Wujek” i też pacyfikacji czy też, jak by to powiedzieć, rezygnacji z dalszej walki strajkujących górników KWK Piast. No i to była taka rzeczywiście pewna probierz można powiedzieć. W stanie wojennym z perspektywy tam czternastolatka to skumulowały się wszystkie, jak by to powiedzieć, odczytane wcześniej negatywne cechy państwa policyjnego, sowieckiego, radzieckiego i zakłamania, terroru i tej biedy, tej szarzyzny, która była wszechotaczająca. No i tu w sposób naturalny byłem pchany takim, można powiedzieć, młodzieńczym buntem, tym wektorem, do uczestnictwa we wszystkich możliwych, nadarzających się okazjach manifestowania sprzeciwu. I to były główne warszawskie manifestacje 1982 roku, a następnie 1983 roku. 1 maja, 3 maja, 31 sierpnia. Czyli te wszystkie rocznice, które albo w jakiś sposób przypominały o niepodległości państwa polskiego, czy też o porozumieniach sierpniowych i sprzeciwie wobec delegalizacji Solidarności czy w ogóle zdławienia tego ruchu narodowego, dziesięcioletniego. Bardzo ważnym

elementem było oczywiście zamordowanie Grzesia Przemyka, dla wszystkich w ogóle licealistów. I pamiętam, że tak powiem, pustą szkołę swojego liceum, gdzie wszyscy wyszliśmy uczestniczyć we mszy świętej z tym związanej. Wiatr wiał tam. I nikt nie miał do nas z ciała pedagogicznego pretensji. To samo się powtórzyło rok później, przy porwaniu, zamordowaniu przez SB, księdza Jerzego Popiełuszki. To już wtedy byliśmy tak bezczelni, że wykradliśmy nawet sztandar szkoły. I on był na Placu... chyba jeszcze wtedy, nie pamiętam, Inwalidów, przed kościołem Stanisława Kostki, czy jakoś inaczej się nazywał, już nie pamiętam, Waszyngtona? W każdym razie ta półmilionowa rzesza, która wtedy skupiła się podczas mszy świętej pogrzebowej, to tam jednym z elementów tych sztandarów to było właśnie Liceum Ogólnokształcące imienia Bolesława Chrobrego. Tak że ta szkoła dzięki też pewnej postawie niektórych nauczycieli była dosyć taka opozycyjna, antykomunistyczna. Oporniki w klapach, przerwy w milczeniu, to żyło rzeczywiście. Ulotki czy też podziemne wydawnictwa, które były porzucane gdzieś na parapetach, i tak dalej. Tak że bardzo dobrze to wspominam, rzeczywiście ta szkoła taką formację przyjęła, ale to dzięki kadrze pedagogicznej i w dużej mierze dyrektorowi, który wówczas piastował tę funkcję. No i mamy tę jesień, zimę 1983 roku, kiedy przystąpiłem do takiej grupy, najpierw ulotkowej, ona się przekształciła potem w Grupę Oporu „Solidarni”, a jeszcze później w grupę emiterów Podziemnego Radia Solidarność, to była grupa „Gerarda”, Jakuba Leja. Trafiłem tam, o ile dobrze pamiętam, przez Solidarność, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Miało to miejsce w takich dosyć konspiracyjnych jak te lata warunkach. Powiedziano mi, jak człowiek wygląda i co ma mieć charakterystycznego, było hasło „odzew” i spotkaliśmy się z „Gerardem”, Jakubem Leją. Dokładnie pamiętam, Gruba Kaśka na Placu obecnym Bankowym, a dawniej chyba Dzierżyńskiego, o ile dobrze pamiętam, w latach komunistycznych, i przystąpiliśmy do działania takiego dosyć aktywnego. No to to, co robiliśmy wtedy, to jest takie komunikowanie się przez RKW Solidarność, tę podziemną organizację Solidarności, ze społeczeństwem, czyli ulotkowanie, zabezpieczanie manifestacji, poprzez transparenty. Kiedy to się przekształciło już w grupę oporu „Solidarni”, no to plakatowanie miasta. Pamiętam taką akcję dosyć znaną i mającą taki troszeczkę międzynarodowy chyba odzew, bo i Wolna Europa o tym informowała, i Radio Washington, o ile dobrze pamiętam. Było to związane z rocznicą wprowadzenia stanu wojennego i wydrukowaniem plakatów w formacie i w czcionce dekretu o wprowadzeniu stanu wojennego z listą wszystkich, którzy zostali wtedy zamordowani, zabici bądź porwani. I te plakaty były zawieszane na terenie całej Warszawy. One miały dosyć spory rozmiar, były bardzo widoczne i pamiętam, to była akcja z rana, o 4:00 czy 5:00 nad ranem jakoś, tuż przed wschodem słońca, zabezpieczaliśmy wtedy dzielnicę Wolę i razem z całą grupą pracowaliśmy nad tym, żeby ta dzielnica była oplakatowana. To było 13 grudnia, ale którego roku? Nie pamiętam, czy to był już 1984 czy 1985 rok, ale to na pewno już jakiś środek lat 80. No i, jak by to powiedzieć, istotną w ogóle tej grupy, która była w pewnym sensie powielonym wzorcem innych równoległe działających, to byli głównie studenci. Tam należał Paweł Badzio, Michał Chodurski z historii, Tomasz Tyfonek, też z historii, Lech Godziński, o ile dobrze pamiętam, chyba studiował psychologię albo socjologię. Bo wspomniany Jakub Leja razem z Pawłem Badziem byli na socjologii. Ale też mieliśmy osoby z takich aktywów robotniczych, jak pamiętam, taki chłopak, Szmaja się nazywał, bądź tego typu nazwisko, który miał wykształcenie czysto techniczne i już pracował, czy też zaczynał prace już jakieś tam w fabryce. Łącznie przewinęło się nie więcej jak dziesięć, może jedenaście, dwanaście osób przez tę grupę przez ten okres w którym ja byłem, czyli od 1983 roku do 1989, ale zręb, takie twarde jądro, to stanowił właśnie Jakub Leja, Paweł Badzio, Michał Chodurski, Tomasz Tyfonek, ja i jeszcze chyba jakaś jedna osoba, o której sobie za chwilę przypomnę. I najważniejszy przełom w funkcjonowaniu Grup Oporu to było odejście od tej dotychczasowej formuły funkcjonowania, czyli ulotkowania, plakatowania, udziału w manifach czy jakichś happeningach do skorzystania z nowej

technologii, która była często takim mixingiem tego, co zaoferował zachód, i myśli polskich naukowców, inżynierów z Politechniki Warszawskiej czy też z przedsiębiorstw zajmujących się wyrobami urządzeń radioelektronicznych, czyli tak zwanych „bert”, czyli mobilnych nadajników radiowych, które działały na paśmie częstotliwości fonii Telewizji Polskiej i które były emitowane, te programy czy też te kasety kilkuminutowe, w czasie dziennika telewizyjnego. Pamiętam, że te „berty”, które były dosyć takiej małej wielkości, ale dosyć ciężkie, pierwszy miał moc chyba 60 watów, drugi już 80, a ta trzecia generacja, która została wprowadzona już w 1989 roku, na początku, oprócz tego, że emitowała, propagowała fale elektromagnetyczne na częstotliwościach głosu telewizji publicznej, to jednocześnie emitowała fale elektromagnetyczne na częstotliwości obrazu i na ekranach telewizorów w czasie emisji tych naszych podziemnych programów pojawiał się tekst na ekranie. On był zaprogramowany w takich kostkach, które się wkładało do specjalnej takiej wtyczki, która była przytwierdzona do anteny skręcanej. Mniej więcej o długości od półtora do dwóch metrów. No i w zależności od propagacji trzeba było pionowo bądź poziomo te anteny ustawiać w domach. No i jak to, że tak powiem, życie lat 80. Uniwersytetu Warszawskiego, te wszystkie grupy się mieszały i towarzysko, i funkcjonalnie. Jeszcze się dopytam o te odbiorniki. Ten zasięg był, rozumiem, różny, jeżeli chodzi o te pierwsze? Znaczący, tak, te o mniejszej mocy oczywiście propagowały, miały krótszy promień rażenia niż o 80 watach mocy. Natomiast wszystko zależało od warunków propagacji, czyli wysokości mieszkania z którego emitowaliśmy, jak i zabudowy. Jak i, że tak powiem, jak ta zabudowa, mieszkalna czy biurowa, ma w sobie żelastwa. To też ma na to wpływ. Ale generalnie można było dostrzec efekty naszej pracy, bo każda audycja kończyła się prośbą do tych, którzy wysłuchali w czasie właśnie nadawania Dziennika Telewizyjnego, naszej audycji, o miganie światłami przez dany okres czasu, po to żeby właśnie widzieć skutki naszej działalności, a także ocenić jej zasięg. No i rzeczywiście muszę powiedzieć, że mieliśmy takie mieszkania jak chociażby przy Dworcu Południowym w Warszawie, gdzie są takie, można powiedzieć, wysokościowce, domy mieszkalne, z jedenastego-trzynastego piętra rzeczywiście piękny efekt wywoływało, bo ten promień rażenia czy też słuchalności obejmował bloki w promieniu dwóch nawet kilometrów. I to dawało bardzo wielką satysfakcję, a z drugiej strony frustrację ze strony Służby Bezpieczeństwa, która potem szalała i próbowała zidentyfikować źródło tego nadawania. Myśmy byli bardzo aktywną grupą, ponieważ miesięcznie od dziesięciu do trzynastu regularnie takich audycji nadawaliśmy, zaraz wytłumaczę strukturę, ale też nie ograniczyliśmy się tylko do Warszawy, mieliśmy wypadki także do Stalowej Woli, do Świdnika, do Bytomia, do Katowic. Tam poprzez kontakty z Solidarnością czy podziemiem byliśmy jakby zapraszani do tego, żeby wyemitować audycję, ponieważ taką technologią nie dysponowaliśmy. Ja dopiero po wielu latach tak naprawdę, w 1989 roku i jeszcze później, dowiedziałem się o strukturze, też o osobach odpowiedzialnych za to. Wojtko Stawiszyńskiego, który był głównym motorem w ogóle Podziemnego Radia Solidarność w tej formule technologicznej właśnie, o której mówię, czyli tych mobilnych nadajników, krótkich, kilkuminutowych audycji, poznałem, o ile dobrze pamiętam, chyba w połowie lat 90. Grzegorza Buczka, który bezpośrednio nas nadzorował, o nim się dowiedziałem w 1989 roku dopiero, kiedy zaprzestaliśmy już działalności, a powstało tak zwane Radio Solidarność, w którym wydawcą był zarząd regionu NSZ Solidarność. To się potem przekształciło po zmianach komercyjnych w Radio Eska, to, co teraz słyszymy. To taka jest... I w naturalny sposób część osób, i którzy przygotowywali audycje, jak i ci z grup emiterów, zasilali pierwszą kadrę spikerów czy w ogóle dziennikarzy. Do nich właśnie należał Tomasz Tyfonek, Michał Chodurski, Paweł Badzio, et cetera. Ja akurat miałem inne zainteresowania, to o nich powiem troszeczkę później. W każdym razie wracając do tej struktury, podlegaliśmy tak zwanej Armenii, reprezentowanej przez Grzegorza Buczka, szefem, na samym szczycie, był Wojtek Stawiszyński. Nas obsługiwał w sensie merytorycznym, przygotowywania materiałów

do audycji, Program Pierwszy i Program Trzeci Andrzeja Gelberga, późniejszego wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”, znana postać, bardzo ważna w ogóle dla ruchu Solidarności, jak dla podziemia i warszawskiego, i ogólnokrajowego. No i wróć do specyfiki Warszawy i Uniwersytetu Warszawskiego. Ta konspiracja była tak zorganizowana, że mnóstwo zajmowało się tym samym czy też powielało pewne funkcjonalności, tak że te same osoby nadawały Podziemne Radio Solidarność, te same osoby zabezpieczały manifestacje, te same osoby były w strukturach NZS-u Uniwersytetu Warszawskiego, te same osoby też brały udział w drukowaniu PWA czy tygodnika Mazowsze i tak dalej. Takie były realia lat 80. W ten sposób poznałem Andrzeja Papierza, w ten sposób Mariusza Kamińskiego na demonstracjach poznałem, w ten sposób poznałem braci Nachiło, którzy też byli przywódcami jednej z ważniejszych Grup Oporu, „Solidarni”, a jednocześnie razem uczestniczyliśmy wszyscy w strajku Uniwersytetu Warszawskiego w 1988 roku, ja stałem na bramce, inni byli, że tak powiem, w kierownictwie. Tam zaczął się przejawiać Andrzej Anusz, Piotr Wójcik, wszystkie osoby, które potem, w latach 90., albo zostały posłami, albo teraz pełnią bardzo ważne funkcje państwowe, jak choćby już wcześniej wymieniony Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik. To, można powiedzieć, był jeden wspólny sos Uniwersytetu Warszawskiego, kilku wydziałów, które były przodujące, jak Wydział Historii, Wydział Prawa i Administracji oraz Fizyki, na której ja studiowałem od 1986 roku kierunek astronomię, którą kończyłem dopiero w 1993 roku. I tak właśnie, że tak powiem, z kosztami dla konspiracji i bezpieczeństwa BHP, funkcjonowaliśmy.

Artur Kłus: Jakbym mógł dopytać, troszkę wrócić do tego początku, do tych grup, zapytać się, bo mówił pan o tych akcjach ulotkowych, plakatowaniu, manifestacji. Czy jakieś jeszcze wspomnienia pan zapamiętał, jeżeli chodzi właśnie o taki proces, jak wyglądały te akcje ulotkowe, albo jakieś takie wspomnienia, jeżeli chodzi o to plakatowanie czy te organizacje tych manifestacji, coś szczególnie panu zapadło w pamięć?

Piotr Wojciechowski: To znaczy, tak, pamiętam swoją akcję pierwszą ulotkową, na którą zabrał mnie „Gerard”, czyli Jakub Leja. To był jeden z wieżowców niedaleko ulicy Chłodnej na Woli. Teraz równoległe do ulicy Jana Pawła II, ta ulica jest już jakaś mniejsza, ale ten budynek stoi. I tam właśnie „Gerard” pokazał mi całą technologię odpalania ulotek. Te ulotki były dostarczane z jakiegoś magazynu, ja do końca nie wiedziałem, gdzie jest to mieszkanie, z którego grupy ulotkowe te ulotki pobierają. One były już przygotowane, obwiązane plastikowymi sznureczkami i do tego był przytwierdzony lont. Lont, który miał za zadanie po prostu stopić tę plastikową żyłkę tak naprawdę. To był sznurek nasączony czymś tam, który powodował po prostu żarzenie się, określoną temperaturę. ale on nie gasł i dzięki tej temperaturze po prostu stapał tę żyłkę i wtedy następowało, że tak powiem... Pod wpływem ciężaru tego pakunku te ulotki spadały już swobodnie, czyli w takim, można powiedzieć, bąblu rozszerzającym się na ziemię. I temu towarzyszyło zawsze tak, że ci którzy byli na akcji musieli oczywiście opuścić blok, z którego to było zrzucane, czy to była klatka schodowa, czy to mieszkanie zaprzyjaźnione, do takiego miejsca, w którym można było obserwować efekty tego. Czy w ogóle doszło, bo czasami bywało tak, że ten lont po prostu gasł, był źle przygotowany i trzeba było akcję od nowa powtórzyć, bądź jeżeli ona zakończyła się sukcesem, no to można było obserwować ładny widok kilku tysięcy ulotek, które wiatr rozwiewał na sporym promieniu, i reakcje warszawiaków, które w stu procentach zawsze były pozytywne, ludzie to zbierali, czytali, cieszyli się z tego. To był bardzo ważny sposób komunikowania się podziemnych struktur ze społeczeństwem. A co na tych ulotkach było? Najczęściej były informacje o działalności i przede wszystkim

komunikaty o zdarzeniach, które mają mieć miejsce, jak właśnie te planowane demonstracje czy manifestacje przy tych rocznicach, 3 maja, 31 sierpnia każdego roku et cetera. Ale to nie wyczerpywało tematyki tego, co się działo. To samo, jeżeli chodzi o akcję plakatową. Ja zapamiętałem tę szczególną, wynikającą po prostu z tego, że te plakaty, które były w formacie jeden do jednego, jak dekrety o wprowadzeniu stanu wojennego, tą samą czcionką, tylko pełną listę wówczas znanych nazwisk zamordowanych, i górników, i działaczy, czy porwanych, którym się losy nie wiadomo jak... Tam było kilkadziesiąt nazwisk, o ile do pamiętam. No i ze względu na treść, format, a także warunki tej akcji, to pamięć jest żywa i może w detalach to opowiadać. Ale też były inne, jak by to powiedzieć, plakaciki, którymi po prostu się komunikowało ze społeczeństwem na temat zdarzeń, czy imprez, które miały mieć miejsce, jak na przykład jakieś happeningi, wtedy bardzo popularne. Był to sposób wyśmiewania, wyszydzania władzy. A z jakichś powodów mniej lub bardziej tolerowany przez komunę. W szczególności po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki to już widać było, że troszeczkę to lżeje, przynajmniej jeżeli chodzi o stan wojenny. Inna taka działalność, ale to bardzo krótkotrwałe, zastopowane, tak jak pamiętam, jak mi powiedziano wówczas, przez „Gerarda” czy Pawła Badzio, to było na przykład oplakatowywanie bloków, klatek schodowych i mieszkań kolaborantów, ubeków, donosicieli, działaczy partyjnych, mniej lub bardziej znanych albo publicznie, albo środowiskowo. To było oplakatowywane klejami, które strzelały. Klejami, które przy próbie zerwania wywoływały jakąś reakcję chemiczną, która powodowała wytwarzanie się ciepła, takiego nagłego, że można było sobie palce poparzyć. I podziemie, kierownictwo RKW, nam nie pozwalało kontynuować tej działalności, tak dla nich radykalnej. I to był jeden z takich punktów rozjeżdżania się oczekiwań takich młodych ludzi radykalnych jak my, od podziemia RKW, kierownictwo, które zaczęło w naszej optyce po prostu mięknąć czy też można powiedzieć nawet większy zarzut, dogadywać się z komuchami. I na szczycie tego był Lech Wałęsa, zwany „Ponton”. Dla nas wszystkich Lech Wałęsa był „Pontonem”, znaczy takim politykiem, który chciał być zawsze na wierzchu, pływać na powierzchni wody, nie dać się zatopić, i to była jego istota działalności. Czyli jakby oskarżenia o brak radykalizmu, o daleko idące kompromisy, dialogowanie z drugą stroną, stroną czerwonego, czyli władzami komunistycznymi. Co się okazało potem, po latach, doskonale udokumentowane i wyjaśnione nie tylko jego przeszłością agenturalną, ale także jego sprofilowaniem przez komunistów już w początku lat 80., od powstania Solidarności, i potem okresu jego tak zwanego internowania. Czyli został, że tak powiem... Jego działalność została potem na późniejsze lata ukierunkowana, efektem była jego pięcioletnia prezydentura i stosunek do rządu Jana Olszewskiego i do kwestii lustracyjnej. No dobrze, ale wracając jakby do tych początków...

Artur Kłus: Jeszcze dopytam, jak jesteście przy RKW, a kontakt i ta optyka, jeżeli chodzi o region Mazowsze i samego Bujaka, jakie były, jak pan pamięta, nastawienia czy reakcje?

Piotr Wojciechowski: Tak jak mówię, on oczywiście był bohaterem dla wielu, dla nas, bardzo ten mit był umiejętnie kształtowany przez część wydawnictw bardzo popularnych i wielonakładowych, podziemnych, jak chociaż jest Tygodnik Mazowsze, który był wydawany w bardzo dobrej jakości w ogóle. Widać było zresztą, jakie środowiska podziemne jakimi dysponują technologiami i pieniędzmi na cele wydawnicze, że jedne mają dyspozycji offsetowe maszyny, a drugie na sicie to robią. I to też było ciekawe. Ale już wtedy to się pojawiało... jak by to powiedzieć, te pęknięcia, w szczególności blisko 1985 roku, po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, te pęknięcia w optyce, że to nie jest monolit, że to przywództwo jest słabe, że dialoguje, że właściwie szuka kompromisu tam, gdzie tego kompromisu być nie może. Tak jak mówię, to była Warszawa lat 80., środowisko studenckie, więc wiele rzeczy było przygadywane

w sposób towarzyski, znaczy na niwie towarzyskiej, przy piwie czy przy winie, czy przy alkoholu mocniejszym. I w ten sposób następowało dyskutowanie i wyrabianie sobie pewnego zdania na temat tego przywództwa. Ale to już było wtedy dostrzegane. I starsi koledzy, a potem ja, już z wiekiem i doświadczeniem, umieliśmy czytać te artykuły Lityńskiego czy innych przywódców intelektualnych, które się ukazywały poza oficjalnym obiegiem, szczególnie z Adamem Michnikiem, to już jest inna narracja. Okazuje się, że to nie jest potwór, komuniści to nie potwór, oni mają też oblicze ludzkie z którego warto skorzystać i się dogadywać. No i to miało potem swoje takie radykalne pęknięcia, głównie w 1992 roku, po obaleniu rządu Jana Olszewskiego, i w latach późniejszych. Ale to był taki dosyć ważny moment, który był wcześniej poprzedzony tą tak zwaną wojną na górze, którą Lech Wałęsa wywołał w celu osiągnięcia swojego celu, czyli prezydentury. No dobrze, ale wracając do tej działalności sensu stricto Grup Oporu, to, tak jak mówię, nowe tchnienie wiązało się z tym takim wyjątkowym, unikatowym zjawiskiem chyba w całym obszarze imperium sowieckiego i tak zwanych krajów demokracji ludowej, czyli tych, które były satelitami Sowietów, jakim było właśnie Podziemne Radio Solidarność. No to raz, to związane jest właśnie z technologią, która umożliwiła budowę mobilnych, całkiem silnych, niezłych nadajników, a te w trzeciej generacji jeszcze miały tę możliwość emitowania tekstu na ekran telewizorów. No i ten pomysł, żeby podmieniać fonie dziennika telewizyjnego właśnie emisją podziemnego radia. Mówiłem już o tym, że Andrzeja Gelberga, i o nim się dowiedziałem dopiero w 1989 roku, po wyborach czerwcowych, jako tego szefa Programu Trzeciego, a o Buczku Grzegorzu też wtedy się dowiedziałem, i to rzeczywiście były dobrze zakonspirowane relacje ze strony Pawła Badzia. A o Wojtku Stawiszyńskim dopiero w latach 90., Armenii, też dopiero wtedy zacząłem się dowiadywać. Niemniej nasza grupa od 1983 roku liczyła trzech szefów. Tym pierwszym, którego ja poznałem, był „Gerard”, czyli Jakub Leja, i po jego wyjeździe do Stanów Zjednoczonych, który wrócił dopiero po dziesięciu czy parunastu latach, o ile dobrze pamiętam, dwudziestu może, nie pamiętam... Kiedy on wyjeżdża? Myślę, że to był wyjazd, 1985 rok albo najpóźniej 1986. Wtedy pałeczkę przejął w naszej grupie Paweł Badzio, który z kolei wyjechał w 1988 roku, na rok czasu. I wtedy już do końca istnienia grupy czy tej formuły funkcjonowania, jakim było Podziemne Radio Solidarność i emitowanie poprzez grupę emiterów, ja do końca szefowałem tej grupie. Ostatnią audycję pamiętam, że nadaliśmy w drugiej połowie czerwca 1989 roku, na pewno po drugiej turze wyborów tych uzupełniających. Czyli można rozumieć, że z tej grupy „Gerarda” początkowej ona ewoluowała w kierunku głównej działalności, jeżeli chodzi o głównych emiterów Radia Solidarność, tak? – Tak. – Na początku tutaj jest o akcji ulotkowej, tej manifestacji, plakatowaniu, ale to się powoli przeradza, gdzie głównym motorem robi się... Inaczej. To, co wypełnia główną działalność podziemną. Bo tak jak mówię, specyfika środowisk uniwersyteckich, pewnie też Politechniki Warszawskiej, była taka, że te funkcje były powielane. I to, że zajęliśmy się... głównym nutem naszym była emisja Podziemnego Radia Solidarność, i ona dosyć była intensywna, no bo tak jak mówię, miesięcznie dziesięć-trzynaście emisji następowało, nie oznaczało, że zrezygnowaliśmy z zabezpieczeń manifestacji. Nie ulotkowaliśmy już, to prawda, ale braliśmy bardzo aktywny udział w samych manifestacjach czy tak zwanych happeningach, czy w ogóle seatingach, które były bardzo masowo organizowane w różnych miejscach centrum Warszawy. Udział chociażby właśnie w tym strajku Uniwersytetu Warszawskiego w 1988 roku. Ale, mówię, główny nurt... I też nikt nie rezygnował z dystrybucji podziemnych pism, wydawnictw, czy Tygodnika Mazowsze, czy PWA, czy jakichś innych, to było bardzo bogate pod względem pozycji wydawniczych, czas i to podziemie, ten rodzaj podziemia, już nie mówiąc o tak zwanych zwartych wydawnictwach, czyli konkretnych książkach, pozycjach, które były wydawane. Ale to jest tak, że myślę, że to jest 1985 rok, kiedy myśmy przeszli na tę nową formułę działalności Podziemnego Radia Solidarność, dzięki właśnie tej wynalazczości polskich inżynierów i wsparcia prawdopodobnie

zachodu tutaj. Myślę, że Paweł Badzio będzie mógł więcej powiedzieć, bo był taki moment, kiedy on przez pewien okres badał tę sprawę, ale oczywiście w czasach współczesnych, a mianowicie, że takim clou tej technologii, tych mobilnych nadajników, tak zwanych „bert”, to były jakieś wzmacniane tranzystory o podwyższonej mocy, które objęte były podobno embargiem. Czyli innymi słowy, nie można było składać tych „bert” w takiej formule i z takim sukcesem technologicznym bez zgody dysponentów pierwotnych tego typu tranzystorów, które jak na owe czasy były na tyle technologicznie rozwinięte, że objęte były embargiem CoCom, to z krajów socjalistycznych. I to jest ciekawy wątek, który pewnie kiedyś, mam nadzieję, zostanie w pełni wyjaśniony, jak Zachód, że tak powiem, stymulował poprzez technologię, którą miał w ręku, rozwój Podziemnego Radia Solidarność i tego zjawiska, które było samo w sobie czymś niespotykanym w krajach satelickich bloku wschodniego. Tu też muszę powiedzieć, że Armenia w pewnym momencie wyszła poza Polskę, na Litwę. To tu już więcej powiedziałby Wojtek Stawiszyński czy nawet Grzegorz Buczek. Ale to tak się rozprzestrzeniło. Te „berty” były potem eksportowane na Litwę i prawdopodobnie też na inne kraje krajów sowieckich. I to było i w sensie kulturowym, jak i technologicznym, zjawisko niespotykane i takie unikatowe, warte podkreślenia i udokumentowania. Istnieje stowarzyszenie Podziemnego Radia Solidarność, którego właśnie Paweł Badzio jest prezesem, i ono już teraz, po śmierci senatora Romaszewskiego z panią Zofią Romaszewską kultywują tę tradycję, ale też odtwarzają historię. No i są znaki zapytania do dnia dzisiejszego, na które nie umiemy sobie odpowiedzieć, i jednym z tych znaków zapytania jest właśnie ta technologia, jak ona się dostała tutaj, na teren PRL-u, która pomogła właśnie zbudować takie nowoczesne nadajniki. No i to jest taka dygresja, można powiedzieć.

Artur Kłus: Jeszcze jakbyśmy mogli właściwie wrzucić i być może jakąś tam klamrą zamknąć ten wątek grupy „Gerarda”, Jakuba Lei, chciałbym zapytać, dlaczego właśnie trafił pan do Jakuba Lei i dlaczego to jest grupa „Gerarda”, i jakim w ogóle był przywódcą tej grupy Jakub Leja?

Piotr Woyciechowski: Już mówię. Do grupy „Gerarda” trafiłem dzięki podziemnej Solidarności Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Narodowej. Myślę, że zdecydowały o tym tamtejsze właśnie kontakty, akurat z tą grupą wołoską. Gdyby były jakieś inne, na przykład z grupą braci Nachiło, to bym pewnie do nich trafił. Chociaż pokoleniowo oni są trochę inni. Istotą jest to, że zdecydował przypadek i taka spontaniczna sieć pewnych powiązań związanych. Jak Kubę poznałem, on był już studentem. Ja byłem licealistą. No to przede wszystkim troszeczkę wiekowo różniliśmy się. A to był człowiek, którego zapamiętałem z tego pierwszego spojrzenia jako taki nowoczesny, bym powiedział, czytany, inteligentny i o czym później się dopiero dowiedziałem, że jest to syn Magdy Lei, takiej bardzo ważnej postaci, pisarki dziennikarskiej dla pokolenia 1956 roku. A późniejszej, daleko idącej aktywistki podziemia warszawskiego, nieformalnej sekretarz redakcji wydawnictwa CDN, o ile dobrze pamiętam, Czesława Bieleckiego. Bardzo ważna postać taka. I ta postać ukształtowała oczywiście Kubę, który promieniał czytaniem, inteligencją i taką aktywnością, świadomością polityczną. Całkiem szybko zdecydował się wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie już został na długie lata, dopiero po latach wrócił tutaj, do Polski. I w ten sposób w naturalny sposób przejął to drugie z tandemu, czyli Paweł Badzio, który też charakterystyczny rytm studencki Uniwersytetu Warszawskiego... Czytany, rozgadany, ale z trudnościami zaliczenia poszczególnych lat studiów. No tak jak my wszyscy, to było takie pokolenie. Piotr Niemczyk do tej pory nie zrobił studiów na Uniwersytecie Warszawskim, historycznych, i nie ma wyższego wykształcenia. Mnie się dopiero to udało kilka lat po przełomie i transformacji ustrojowej. Tak nas to życie angażowało, że nie mieliśmy czasu na naukę. Mieliśmy tyle czasu na naukę, żeby nas nie wyrzucano ze studiów i nie musieli pójść

odstąpić wojska. Chociaż mój wydział miał troszeczkę inną specyfikę. Na Wydziale Fizyki, czy w ogóle na astronomii, nie można się nie uczyć. Nie da się nie uczyć. Jeżeli się nie uczy, to jest bardzo szybka eliminacja. Więc ja jakoś to godziłem, aczkolwiek formuła ówczesnych studiów, polegających na rolowaniu urlopów studenckich, tak zwanej dziekanki, dawała możliwość elastycznego podchodzenia do tego. Natomiast byłem jedynym w grupie z nauk ścisłych i żyjących ze specyfiki po prostu Wydziału Fizyki poza głównym nurtem budynków Uniwersytetu Warszawskiego zlokalizowanych na Krakowskim Przedmieściu. Bo fizyka to Hoża, Banacha, to jest na ulicy Bartyckiej Centrum Astronomiczne Mikołaj Kopernika, to jest Ujazdowskie Obserwatorium Astronomiczne. To jest właśnie fizyka, astronomia. W każdym razie postaci, osoby tej grupy, jak właśnie Paweł Badzio, Tomasz Tyfonek, Michał Chodurski czy Lech Godziński, potem towarzyszyły mi już przez następne lata, aż do lat dwutysięcznych, znaczy już z wyjątkami, z pewnymi zdarzeniami, które się wywoływały. W każdym razie istotą i cechą w ogóle tych wszystkich ludzi i tego życia na Uniwersytecie Warszawskim, czy w ogóle warszawskich wyższych uczelniach, było to, że ta aktywność w dużej mierze nie została zatrzymana po transformacji ustrojowej 1983 [1989] roku. Naturalnie ci ludzie... My włączyliśmy się w udział w przekształcaniach, na tyle mogliśmy, nam wiek pozwolił, kontakty, ustrojowych. I wykorzystywaliśmy mniej lub bardziej te okazje czy te instytucje, które powstawały, do tego, żeby mocno zmanifestować swoją osobę. I naturalnym były oczywiście komitety obywatelskie Solidarności, które powołane zostały w ramach kampanii wyborczej do kontraktowego sejmiku dziesiątej kadencji PRL, ostatniej kadencji Polski Ludowej. I jak przyszła wojna na górze, to dokonał się naturalny podział oczywiście i środowisk z tym związanych, i ludzi. Na szczęście w mojej grupie do tego nie doszło, bo wszyscy zachowali tak zwany antykomunizm wręcz, bym powiedział, zoologiczny, jak i taką bezkompromisowość. Więc w dużej części na przykład, kiedy doszło do rozłamów w Komitecie Obywatelskim, już wtedy, przy Lechu Wałęsie, kiedy odwołano Henryka Wujca z funkcji sekretarza, kiedy cały ten późniejszy aktyw założycielski ROAD-u Unii Wolności i Gazety Wyborczej odszedł w proteście z sekretariatu Komitetu Obywatelskiego, to ja na przykład zostałem. I pracowałem potem z Wojciechem Włodarczykiem, z Janem Olszewskim, z Antonim Macierewiczem i oczywiście ze Zdzisławem Najderem, taką główną wtedy osobą, która do wyborów prezydenckich 1990 roku, a potem nieudanego rządu przełomu, który ostatecznie nie powstał, a w niego miejsce powstał rząd Jana Krzysztofa Kuleckiego [Bieleckiego], i do czasu listopada 1991 roku, czyli po pierwszych wyborach wolnych, rzeczywistych do sejmiku Rzeczypospolitej Polskiej pierwszej kadencji i powstania rządu Olszewskiego w sposób naturalny zostałem włączony w tę szeroko rozumianą działalność tego rządu.

Artur Kłus: To do tego przełomu jeszcze chciałbym wrócić, tylko jakby jeszcze zostać przy kwestiach tych Grup Oporu, jak pan pamięta w ogóle to współdziałanie właściwie tych grup? No bo jest grupa „Gerarda”, ale są różne inne grupy, pan też tu dzisiaj dużo mówi o tym, że ta działalność młodych ludzi się często przenikała i można było spotkać te same osoby przy różnych działaniach. Jak Pan wspomina właściwie tę... Czy można powiedzieć, czym się odróżniała grupa „Gerarda” od innych grup, albo może właśnie te grupy były bardzo do siebie podobne, albo kontakty między grupami? Tę całą strukturę Grup Oporu jak pan wspomina?

Piotr Woyciechowski: Z konspiracją to byliśmy za pan brat. Znaczący na bakier. To było przeciwko BHP, no niestety, to trzeba sobie szczerze powiedzieć. My próbowaliśmy, na ile mogliśmy. I nasza spontaniczność, i brak coachingu, można powiedzieć, pewnego coacha, jak budować schematy bezpieczeństwa i konspiracji, całkiem nieźle sobie

radziliśmy. Bo nawet mieliśmy takie, pamiętam, kody telefoniczne, polegające na tym, że miejsce spotkania, godzina spotkania była zamaskowana innymi hasłami. Jak była godzina, nie wiem, tam 17:00, to wiadomo było, że to jest godzina przed, a jak mówiło się Plac Bankowy, to proszę rozumieć, nie wiem, plac Waszyngtona na przykład. I to tak się zmieniało. Oczywiście wychodziły też z tego takie zabawne sytuacje na początku, kiedy ktoś zapomniał o kluczu, jaki należy odczytywać, i spotykaliśmy się na dwóch stronach Warszawy w zupełnie innych godzinach tego samego dnia i mieliśmy do siebie pretensje, ale próbowaliśmy to robić. A druga rzecz to minimalizować niebezpieczeństwa związane z przechowywaniem „berty”. Otóż byliśmy jedną z nielicznych grup, gdzie nie było żadnej wpadki żadnej, ani w trakcie nadawania audycji, ani po. Bo system BHP polegał na tym, że mając sieć kilkunastu mieszkań na terenie Warszawy, takich właścicieli anonimowych, już część nie żyje, nawet mamy trudności z otwarciem po tylu latach konkretnych adresów, gdzie nadawaliśmy, żeby to w pełni zinwentaryzować, to zasada była taka, że po audycji zostawia się „bertę” w tym mieszkaniu, wychodzi się co najmniej po godzinie od daty audycji, czyli zakończenia dziennika telewizyjnego, i najwcześniej można przyjść po tę „bertę” dwa dni później. I odbierała to już inna osoba, nie ta, która przynosiła i emitowała audycję, tylko ta, która miała jechać na kolejną lokalizację i tego samego dnia nadać audycję, zostawić, po godzinie wyjść i ta „berta” czekała na następnego emitera, już innego, który jechał na następną lokalizację, i w ten sposób. Pamiętam, że była jedna wpadka w innej grupie, nie pamiętam jakiej. Właśnie osoba złamała tę zasadę i zaraz po audycji wyszła z „bertą”. I przez patrol była zatrzymana, ponieważ reakcja esbecji i milicji obywatelskiej była taka, że w czasie tej audycji jakiś ruch na mieście był. Oni z jakimiś tam pelengatorami jeździli od czasu do czasu i próbowali lokalizować, że tak powiem, przynajmniej minimalizować... identyfikować obszar, z którego audycja i sygnał pochodził, no i wtedy się pojawiły wzmożone patrole milicyjne. I w takim właśnie wypadku jedna była taka wpadka z tym związana. A te mieszkania, gdzie były te emitowane nadajniki, to były, rozumiem, zaufane osoby, jakimś kluczem wybierane? Klucz był, jak zawsze, taki towarzysko-, bym powiedział, polecający. Ale to była Warszawa. W tych samych mieszkaniach na przykład były, można powiedzieć, miejsca rozdziału podziemnych czasopism. No niestety, tak to wyglądało. To nie była konspiracja Armii Krajowej z II wojny światowej, gdzie się odłączało inne funkcjonalności podziemne. Bardzo często te funkcje się nakładały i te same osoby były też aktywne w innych obszarach, głównie wydawniczych, dystrybucji. Bo cała Warszawa wtedy, pamiętam, była po prostu zaangażowana w dystrybucję przeróżnych rodzajów pozycji wydawniczych w podziemiu. Takim jednym z popularniejszych była właśnie Oficyna Wydawnicza RYTM, gdzie po latach się dowiedziałem, i dosyć to mocno to zbadałem, jaka była rola w założeniu tej oficyny Służby Bezpieczeństwa, pionu kontrwywiadowczego, no i jak potem przejęto, sprywatyzowano przez ubeka, Mariana Pękalskiego vel Kotarskiego, to wydawnictwo, które do tej pory funkcjonuje na rynku i odnosi spore komercyjne sukcesy.

Artur Kłus: Do tego też będę chciał przejść. Jeszcze wracając do tych współpracy, zależności tych grup, chociażby pan wspominał tutaj pana Wojciecha Nachito, z którym też już rozmawiałem i też właśnie powoływał się, że spotykaliście się w tych czasach... Znaczy to grupa tak zwanych „Waldeczków”. I czy właśnie z innymi grupami jakoś pan miał kontakt, spotkanie? Jak wyglądały te kontakty z innymi tutaj działaczami grup? One polegały na wspólnym zabezpieczeniu najczęściej demonstracji, manifestacji czy tych seatingów, czy jakichś innych, o bardziej charakterze, profilu satyrycznym akcji na terenie Warszawy.

Piotr Wojciechowski: To była ta sama uczelnia, która była, że tak powiem, centrum życia studenckiego i wszystkich form podziemnej działalności. Bo duża część działaczy Grup Oporu to był Uniwersytet no i najczęściej Politechnika? Tak, dokładnie. I w mniejszym stopniu jest SGGW czy też inne wyższe uczelnie. Ale rzeczywiście uniwersytet był tą przodującą uczelnią i zaraz za uniwersytetem Politechnika Warszawska. Oni mają swoją wspólną strukturę, taki tajny zarząd Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Warszawskiego imienia Józefa Piłsudskiego, o których zresztą w czasie się dowiedziałem tak naprawdę, w 1989 roku, bo po strajku zaraz, 1989 roku, ja przystąpiłem do NZS-u, miałem legitymację o jednym z najmniejszych numerów, i równolegle działaliśmy jeszcze jako Podziemne Radio Solidarność w tych grupach, ale już jako tak naprawdę ujawniona działalność Niezależnego Zrzeszenia Studentów. – Tak to było. –

Artur Kłus: Pan zaczął studia w którym roku?

Piotr Wojciechowski: Zacząłem w 1986 roku. Wtedy się dostałem na Wydział Fizyki, kierunek Astronomia, którą kontynuowałem z przerwami do 1993 roku. I to był właśnie taki czas, gdzie ze względu na miejsce, na aktywność spotykaliśmy się wspólnie i jednocześnie zaczęliśmy odkrywać powielanie tych samych czynności. – Ale w różnych grupach? – Ale w różnych grupach. I „Waldeczki” też obsługiwały Podziemne Radio Solidarność. Na takiej zasadzie poznałem wtedy bardzo barwną postać, kolorową wręcz, charakterystyczną, jaką był Andrzej Papier, który działał sensu stricte w NZS-ie, w tych grupach, i wydawał. Widywałem Mariusza Kamińskiego z całą jego ekipą. Andrzeja Anusza, Piotra Wójcika. Ta platforma ujawniała różne profile działalności, które były wspólne. No i do tego chodziło oczywiście bogate życie towarzyskie. To był jeden z tych elementów, które łączyły, „Fukier” czy inne miejsca charakterystyczne na Starówce wówczas, to były oblegane przez podziemie warszawskie właśnie, Uniwersytetu Warszawskiego czy Politechniki Warszawskiej. Tam się ludzie spotykali. I to nadaje taki koloryt temu, nie da się ukryć. Natomiast z BHP niewiele to ma wspólnego, i taką czystą konspirą. Ale mówię, to są już czasy Gorbaczowa, to są czasy po śmieci księdza Jerzego Popiełuszki. To już jest decyzja geopolityczna na transformację Sowietów. Odchodzenie od doktryny komunistycznej i ekspansji komunizmu jako tej ideologii rewolucyjnej na rzecz, że tak powiem, zachowania maks tego, co to imperium miało, i zmiany pewnej formuły władzy, i też delegowania jej w poszczególnych państwach satelickich, jak w PRL-u. To się dawało odczuć po prostu.